



# Jazda na gapę

**R**ząd, wężąc nieuchronną porażkę polityki „jazdy na gapę” przy przechodzeniu przez kryzys, niemrawo zabrał się do będących w stanie szczałkowym reform finansów publicznych. Niechęć do energicznego działania to znak firmowy tej ekipy, co zresztą niekoniecznie musi być zarzutem. Tak się złożyło, że ci, którzy w panice rzucili się do zasypywania krachu gospodarczego górami pieniędzy podatników, nie wyszli na tym najlepiej. Łatwo dziś zapominamy, jak wyglądała sytuacja dwa lata temu i jak skuteczna okazała się wówczas kunktatorska polityka gabinetu Donalda Tuska. Warto przypomnieć, że ekspertów, którzy stanęli wtedy za rządem, można policzyć na palcach jednej ręki. Teraz też zresztą okazało się, że gromkie nawoływania do przeprowadzenia istotnych reform kończą się jeszcze głośniejszym atakiem po ich nieśmiałym podjęciu. Zarzuty dotyczą wszystkiego po trochu, a to, że reformy są za małe, a to, że za duże, wreszcie, że nie takie, jakie powinny być. W całej histerii wokół naprawy finansów publicznych ważnych jest kilka faktów. Pierwszy: przy okazji wybuchu kryzysu okazało się, że dotychczasowe osiągnięcia myśli ekonomicznej stały się nieaktualne. Poza Grzegorzem Kołodką, który przyznaje się do przewidzenia kryzysu (oraz wynalezienia koła i zasad fizyki kwantowej), nikt przed nadjeściem katastrofy nas nie ostrzegł, nikt jej nie zapowiadał. W tej sytuacji sprzeczne rady ekspertów nie są już tak ważnym drogowskazem dla rządu, dlatego można je zignorować. Rząd robi to oczywiście na nasze, ale i na własne, polityczne ryzyko. Jeśli mu się nie uda



**ADAM HERMANOWICZ**

– to zostanie pożegnany. Obowiązkowo należy jednak przypominać decydującym o tym, kto czeka na ich spektakularne potknięcie się na reformach. I ta świadomość, która towarzyszy premierowi w jego kalkulacjach, jest nie mniej ważna, niż rosnące zadłużenie państwa.

Po drugiej stronie barykady nie ma bowiem alternatywy, nie ma giełdy pomysłów, wreszcie też nie ma racjonalnego przywództwa. Stało się to, co od dawna przepowiadali ci, którzy „nie przyłączyli się do nagonki na PiS”. Jarosław Kaczyński, na naszych oczach i w świetle jupiterów, spektakularnie odlatuje do krainy, w której to jego brat przeskakuje przez płot stoczni, by obalić komunę. W której pochówek na Wawelu jest oczywistą oczywistością, zaś wrogie siły służące kondominium rosyjsko – niemieckiemu w Polsce nie chcą nieżyjącego prezydenta upamiętnić, aby nie stał się przypadkiem takim samym patronem odrodzonej Polski, jak Józef Piłsudski.

Jedni nazywają ową krainę „Shangri-La”, inni „Never – never – land”. Pozostaniemy może przy bardziej swojskiej „krajnie fantazji”.

Trauma, jaką przeżył Jarosław Kaczyński, jest oczywiście usprawiedliwieniem dla wielu wyrażanych przez niego opinii i w zasadzie nie powinno się na ich temat dyskutować. Z Prezesem jest jednak problem tego typu, że będąc osobą publiczną, pozwala sobie na uzewnętrznianie kłopotów osobistych, a to, niestety, przekłada się na fakty polityczne. Jeśli oskarża on Rosję o zorganizowanie, wspólnie z rządem polskim, spisku, w wyniku którego zginął jego brat, to mamy z tym problem międzynarodowy. Bogu dzięki, że Rosjanie trzymają nerwy na wodzy i nie odpowiadają tym samym, bo nie mielibyśmy zbyt wielu argumentów na obronę. Ten sam problem funduje nam Prezes w stosunkach z Niemcami. I dopiero się rozkręca. Coraz bardziej możemy obawiać się sytuacji, którą proponował kiedyś Jan Pietrzak. Jako remedium na permanentny kryzys Polski w latach osiemdziesiątych zalecał: wypowiedzieć wojnę Ameryce i poddać się następnego dnia.

Można i tak, ale trudno dziwić się premierowi Tusкови, że nie pali się do oddawania władzy takiej opozycji i reformy wprowadza powoli. Za plecami nie ma przecież ekspertów, think-thanków i gotowych projektów ustaw. On ma za plecami Ziobrę, Kurskiego, Błaszczaka i resztę poddanych Jaśnie Wielmożnego Pana Prezesa, który przestał się już kontrolować.

To zmusza do trochę większej odpowiedzialności niż zwykle.

